Rok 1901. Lwów, 7. Kwietnia Nr. 14.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów • Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 7. kwietnia Nr. 14.

TYGODNIK NARODOWY.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 14:

ALLELUJA!

Wesoły nam dzień dziś nastał!..

Dzień ten powtarza się corocznie, a jednak wszyscy z utęsknieniem nań oczekujemy. Bo oto zbliża się pamiątka chwili, gdy Bóg-Człowiek, przywalony kamieniem niesprawiedliwości ludzkiej, zmartwychwstał, aby oczyścić ludzi wiarą, pokrzepić nadzieją, uzacnić miłością.

Wielkie to święto!... Zawiera ono w sobie i pogodę i jasność i tryumf żywota, a wskazuje, jako przez Krzyż i Golgotę idzie droga ku Odkupieniu.

W tej chwili uroczystej, czytelnicy, pozdrowiwszy Was bratniem: „Alleluja!“ składamy życzenia i Wam i wszystkim, co Waszym sercom są blizcy. Szczęść Wam Boże! Niech w sercach Waszych miłość względem bliźnich gości! niech błogosławieństwo Boże w Waszych panuje domostwach! niech wszystko, co nizkie, poziome, nie ma przystępu do progów Waszych, zaś to, co wzniosłe i szlachetne, niechaj się wśród Was krzewi!

Dziś jasno u Was w domu, jasno i wesoło, a tej jasności niechaj Wam starczy na długo na serc pokrzepienie.

Alleluja!...

*

Niebieską jasność widzą moje oczy,
Hymny weselne słyszą moje uszy,
I błogość świętą czuję w mojej duszy,
I łza radości po licach się toczy...

Święci dziś tryumf prawda nieskalana,
I miłość czysta, jak lilii kwiecie...
Gdzie w dziejach świata przykład odnaj- [dziecie
Czynów, podobnych czynom Zbawcy Pana?...

Hańbę i mękę zniósł za cudze grzechy,
Za cudze grzechy skonał umęczony,
Nawet po zgonie do grobu złożony
Słyszał nad sobą wciąż bluźniercze śmiechy...

Lecz jasne słońce zwycięża ciemności...
Zmartwychwstał Pan nasz — nasze jasne [słońce
I oto lecą na wsze strony gońce
Z pieśnią tryumfu, szczęścia i radości...

Chóry anielskie nucą wzniosłe hymny,
I dzwony biją, przez nich kołysane,
Leje się balsam w krwawą, świeżą ranę,
I tętni życiem głaz twardy i zimny.

Chrystus zmartwychwstał!... Radosna nowina
Leci przez pola nad wioski, nad grody
I brzmią jej echem i lasy, i wody,
A ludzkość w modłach kolana swe zgina...

Niebieską jasność widzą moje oczy,
Hymny weselne słyszą moje uszy,
I błogość świętą czuję w mojej duszy
Łza radości po licach się toczy...

Noc baranków.

Jest o północy duchów godzina...

Nikt się o niej nie poważy przekroczyć wrót cmentarza, od których jakiś dziwny dech grobowy odpycha każdego ku wsi z powrotem.

Nie godzi bo się niepokoić duchy, wstające na chwilę z mogiłek! I one z sobą mają gawędy tajemne, których podsłuchać nie wolno żywym i niebezpiecznie... Zmarłych dusze, usiadłszy pod krzyże, radzą między sobą. Mówią ci one o dziedzicu i o plebanie; ni wójta, ni pisarza nie ustawią w pokoju, o całej też gawędzą gromadzie.

Niech cię Bóg chroni — usłyszeć imię swoje wymówione o północy na cmentarzu!

Nim słońce wyjrze z poza lasu — przyjdzie po ciebie kostusia i już ci nawet jegomość nie pomoże, ni zioła cudowne nie odgonią kosy od ciebie — skoro cię zawołały z mogiłek duszyczki zmarłych na swej schadzce tajemnej.

Czasem się zdarza, że radzą duchy o jednym człowieku noc w noc przez całe tygodnie i nie mogą zgodzić się na niego. A zwykle dzieje się to wówczas, gdy ma on kogo z bliskich na mogiłkach.

Rozmaicie się dzieje.

Niekiedy duszyczka matki uprosi towarzyszki o swoje dziecko, niekiedy dobra córka o matkę, lub o brata siostra. I to, kiedy widzi naprzykład matka, że jej dziecku na świecie dobrze i że je warto ostawić przy życiu nadal — wstawi się na naradzie za niem i wyprosi, żeby mu dać pokój. Pokłócą się nieraz o to między sobą duszyczki.. Tymczasem we wsi ten, nad którym radzą na cmentarzu, choruje długo... Jak się wstawiennictwo duszyczki poczciwej powiodło, wyzdrowieje; umrze zaś, gdy ja inna dusza przekrzyczy.

Bywa też niekiedy tak, że którejś duszyczce tęskno w grobie za kimś, kogo za miedzą zostawiła we wsi żywym, a kogo kocha serdecznie. Skoro ci tedy widzi dusza, że i temu także na świecie nie dobrze, rychło go sobie uprosi do towarzystwa.

Ale już najgorzej mieć na mogiłkach ciężkiego wroga.

Kiedy ten zapragnie twojej zguby — nie masz ratunku. Choćby tam o północy i matka i ojciec, siostra czy kochanka wstawiali się za tobą, wszystko daremnie. Ciężki twój wróg uprze się i na swojem postawi: choćby sto duchów innych przekrzyczy i pośle po ciebie kostusię.

Tak ci tam radzą duchy noc w noc, i latem i zimą, wiosną i jesienią...

Jeno raz do roku, kiedy wieczorem nie usłyszą z kościoła dzwonów na Anioł Pański — w noc po Wielkim piątku —

zbierają się wprawdzie o swojej godzinie, ale nie gawędzą z sobą, nie radzą, nie spierają się, tylko milcząc, modlą się...

Za to w następną noc wielki gwar robi się na mogiłkach: to z soboty na niedzielę Wielkanocną.

Wtedy zaraz z wieczora, ino słońce zajdzie za góry, wstają z grobów wszyscy umarli. Klękają każdy pod swoim krzyżem i społem śpiewają: „Chwalcie Pana!“ Potem wszyscy wracają na spoczynek wieczny..

Kiedy zaś nadejdzie północ, na mogiłkach zjawiają się jeno same duszyczki dziecięce.

Starsi śpią...

To godzina duszyczek z czystszych najczystszych, jak baranki bez zmazy — niewinnych.

Zasiadają one na ramiona krzyży i szczebiocząc, niby ptaszęta pośród ciemnego cmentarza, uradowane, że im wolno bez starszych spędzić godzinę w swem kole.

Cieszą się dziatki-aniołki, że się znalazły na ziemi.

Każde dziecko nachyla się nad swoją mogiłką i bierze w rękę baranka.

To dla niego tu postawiono...

I pokazują sobie nawzajem aniołki swoje baranki. Temu matka wstawiła baranka w paczkę z zasianym owsem, tamtemu barwinkiem go ubrała; tu pisankami obłożyła baranka, tam baranek stoi na ciastku...

Gwar i uciecha na mogiłkach wśród duszyczek dziecięcych.

Ale nieszczęście wielkie, kiedy na jakimś grobie aniołek, schyliwszy się po baranka, nie znajdzie nic prócz ziemi wilgotnej i z płaczem zawoła:

— Mamo! zapomniałaś o mnie...

Zaraz odleci z mogiłek wprost w niebo i co żywo spieszy do Jezusa, użalić się przed Tym, który dzieci tak umiłował.

— Jezu! Mama o mnie zapomniała...

I już nie pomoże, skoro matka na przyszłoroczną Wielkanoc zechce o swem dziecku pamiętać i na mogiłkę położyć mu w Wielkim tygodniu baranka. Rok nie dobiegnie końca, a matka taka pójdzie do swego dziecka, choćby jej na ziemi było jak w raju.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przy przeprowadzeniu pułku cesarza Aleksandra do nowych koszar, cesarz Wilhelm wygłosił do żołnierzy mowę, która wywołała w Niemczech pewne zdumienie.

„Grenadyerowie cesarza Aleksandra! — mówił cesarz — Z dniem dzisiejszym rozpoczyna się nowa epoka w dziejach pułku. Opuściliście przed chwilą na zawsze dom stary, z którym wiąże was tyle wspomnień, i wprowadziliście się pod mojem dowództwem do nowego gmachu, do którego pułk wnosi niezliczone wspomnienia pięknych dni pokoju i gorących dni walki. Jak potężna warownia wznosi się nowy gmach pułku w najbliższem sąsiedztwie mego Zamku. Jesteście dlatego niejako strażą przyboczną króla pruskiego, i powinniście być gotowi dniem i nocą oddać swe życie i przelać swą krew dla swego króla! Mam silne przekonanie i pewność, że zgodnie z tradycyami pułku, będziecie zawsze spełniali wiernie swój obowiązek. Gdyby kiedykolwiek miały nadejść znów czasy ciężkie, podobne do tych, które przeszedł ten pułk, i gdyby w mieście kiedykolwiek miał podnieść się bunt przeciw królowi, wtedy bagnety grenadyerów cesarza Aleksandra odeprą nieposłusznych we właściwie granice. Pragnę, aby pułk w nowym gmachu znalazł byt świetny i piękny, aby dana mu była przyszłość pełna chwały! Niech wspomni na swoich sławnych dowódców, a przedewszystkiem niech ma przed oczyma wzniosłą postać np. cesarza Wilhelma Wielkiego, za którego przelewał niegdyś krew na polach bitwy. Waleczność, wierność i bezwarunkowe posłuszeństwo niechaj będą cnotami, któremi będzie się odznaczać pułk wasz, a wtedy zasłuży on na zadowolenie moje, swego króla i pana“.

Pisma niemieckie podają mowę tę bez komentarzy. Ale ponure widmo rewolucyi, które wywołał w swej mowie cesarz Wilhelm, obudzi zapewne głośne echo w parlamencie.

Czasy są spokojne, namiętności polityczne wystygły, interes stłumił wszystkie hasła, które w dawnych czasach wywoływały walki wewnętrzne w Niemczech. Także ruch demokratyczno-społeczny, który dawniej budził słuszne obawy, stępiał i utracił dawny swój charakter rewolucyjny. A przytem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, pułk grenadyerów cesarza Aleksandra, jak każdy inny, bez wahania uczyniłby, coby mu rozkazali dowódcy i nie zatrzymałby bagnetów przed tłumem, choćby widział w nim krewnych i znajomych. Żołnierz niemiecki, występujący w oddziałach, zna tylko komendę i nie pyta o więcej.

Wśród głębokiej ciszy wewnętrznej, wobec braku wszelkich objawów podejrzanych, słowa brzmią bardzo dziwnie. Snadź ostatnia napaść, której przedmiotem był cesarz w Bremie, wywarła na nim bardzo silne wrażenie i obudziła w jego umyśle nieuchwytne, niesformułowane jasno obawy.

* * *

Po uchwaleniu nowej ustawy o kongregacyach przez parlament francuski, rozeszła się w pismach przeciwnych rządowi pogłoska, że Stolica Apostolska zamierza założyć protest przeciw tej ustawie i zagrozić zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Otrzymująca zwykle informacye z najlepszych źródeł *Polit. Corresp.*, przeczy temu stanowczo. Organ dyplomatyczny zapewnia, iż w Watykanie nikt nie pragnie jawnego zatargu z rządem francuskim, zwłaszcza, że bardzo jest prawdopodobne, iż senat zmieni w niektórych szczegółach ustawę i złagodzi niektóre przepisy, niekorzystne dla kongregacyi. Wogóle w miarodajnych kołach kościelnych nie przeważa uczucie niezadowolenia i skłonność do walki, lecz pragnienie, aby przez kompromisy porozumieć się z rządem francuskim Nie ulega żadnej wątpliwości, że dopóki sekretarzem stanu w Watykanie będzie kardynał Rampolla, stosunki z Francyą nie zaostrzą się nigdy tak dalece, aby mogło dojść do odwołania nuncyusza papieskiego z Paryża.

* * *

Znany ze swego udziału w wojnie transwaalskiej kapitan Murray miał w *Royal United Service Institution* odczyt o wpływie wojny z jakiemkolwiek mocarstwem morskiem na stosunki ekonomiczne Anglii. Wykazywał on na podstawie danych statystycznych, że w razie takiej wojny, skutkiem podniesienia się cen żywności i zamknięcia fabryk, władze państwowe musiałyby dostarczyć środków do życia 5 mil. osób, któreby nie mogły płacić na żywność cen podwójnych, i 2—3,000.000, które natychmiast utraciłyby wszelki zarobek. Liczba osób pozbawionych chleba wzrosłaby do 20,000.000, gdyby Anglia poniosła klęskę na morzu. Murray więc domaga się, aby rząd zawczasu stworzył organizacyę, któraby zaopatrywała kraj w dostateczne zasoby żywności przynajmniej na dwa lata naprzód — tyle czasu potrzeba na zbudowanie nowej floty w razie klęski na morzu; dalej zaś domaga się podniesienia rolnictwa krajowego.

Kapitan Murray dochodzi do następujących wniosków praktycznych: 1) Flota angielska powinna być tak silną, jak floty trzech innych mocarstw morskich razem wzięte. 2) Należy zaprowadzić powszechną służbę wojskową, z zachowaniem systemu milicyi. 3) Należy podnieść rolnictwo krajowe, starać się o powstrzymanie ludności wiejskiej od przenoszenia się do miast. 4) Konieczne jest utrzymanie organizacyi, która już w razie pokoju będzie zaopatrywała kraj w takie zapasy żywności, aby Anglia mogła wytrzymać dwuletnią blokadę. 5) Należy przygotować wielkie rezerwy w gotówce na wypadek wojny, a prócz tego powiększyć rezerwy Banku angielskiego.

* * *

Rząd Stanów Zjednoczonych Brazylii kazał aresztować admirała Custodio de Mello, ponieważ tenże szerzył wśród marynarki dążności rewolucyjne. Aresztowanie jego zrobiło w stolicy dobre wrażenie i nie ma już obawy, aby spokój został zakłócony. Za tem dość niewinnie brzmiącem oświadczeniem rządu brazylijskiego ukrywa się udaremniony w chwili ostatniej zamiar wywrócenia republiki i przywrócenia ustroju monarchicznego. Prywatnie donoszą, że admirał de Mello w porozumieniu z towarzyszami broni i gronem obywatelstwa, niezadowolonego ze stosunków istniejących, zamierzał wykonać w czasie najbliższym zamach stanu i wszystkie przygotowania były już ukończone. Hasłem miało być zamordowanie prezydenta. Wśród zamieszania, wywołanego przez tę zbrodnię, monarchiści zamierzali przy pomocy wtajemniczonych przeciągnąć na swoją stronę wojsko i marynarkę i obsadzić gmachy rządowe. Rząd miał objąć tymczasowo tryumwirat, składający się z admirała de Mello, marszałka Cantuario i adwokata Pereira. Dalsze zamiary sprzysiężonych są nieznane. Rząd republikański jednak miał się na baczności, a wykrycie spisku ułatwiła ta okoliczność, że na czele jego stanął ponownie znany oddawna ze swych dążności rewolucyjnych de Mello. Zamierzał on już w roku 1892 wykonać zamach stanu, po zbombardowaniu stolicy, i odtąd władze republikańskie śledziły bacznie każdy krok niebezpiecznego admirała. Tak więc wobec gorączkowego ruchu, który zapanował od kilku miesięcy w kołach monarchicznych, i pojawiania się niepokojących pogłosek, nietrudno było znaleźć wątek sprzysiężenia i zapobiedz jego wykonaniu.

Anna Neumanowa.

Czary i zjawiska pustyni egipskiej.

(Dokończenie).

Wzgórze El Achmar zamyka granicę pustyni Arabskiej od północy; po za niem wita nas nagle prawie, znów jak czarodziejskie zjawisko najbujniejsza roślinność Nilowych wybrzeży.

W tym to właśnie przeciwstawieniu pól szmaragdowych i barwnych, bujnych gajów Delty, do martwej, kamiennej przestrzeni pustyń, niezmąconej pogody jasnego przejrzystego nieba, które się w cichych, spokojnych wodach Nilu odbija, do szarych, bezbarwnych, a często wichrami wydętych piasków, leży cały urok i powab krajobrazów Egiptu.

Gdybyśmy jednak nad Egiptem zawiesili ciemne, mgliste obłoki, to szeroka owa płaszczyzna stałaby się nad wyraz monotonną, szarą, ponurą i straciłaby urok swych barw i blasków. Jej całem pięknem jest jasne słońce — nie dziw więc, że starożytni Egipcyanie kraj swój „ziemią słońca“ nazywali i czcili to słońce, jako symbol zmartwychwstającego wiecznie życia, jako objaw najwyższej potęgi wiecznego światła: Boga! Bóg ten objawiony w sile życiodajnej słońca, zwany Horusem czyli Amnon Ra, posiadał osobną świątynię słynną w całym ówczesnym świecie Heliopolis, w pobliżu dzisiejszego Kairu, właśnie naprzeciw wzgórza El-Achmar i ostatnich krańców pustyni arabskiej. Drożyna zaś, którą schodzimy z pustyni ku szerokiej równinie, kędy pod namułem Nilu i zieloną murawą pogrzebane są gruzy grodu Heliosa, jest tą samą drożyną, jaką według legendy koptyjskiej t. j. tradycyi chrześcijańskiej schodzić miała Matka Boża, tuląca strudzone pielgrzymką z Judei dziecię Jezus. Tu więc na krańcach pustyni stanąć miała przenajświętsza rodzina pod cieniem pierwszego napotkanego na tej drodze drzewa; drzewo, jak mówi legenda suche było i szare, ale nagle okryło się liśćmi i pochyliło zielone gałęzie, aby osłonić niemi Bożą dziecinę. Tuż obok płynie strumień, w którym woda była gorzką i słoną, ale gdy dziecię Jezus zaczerpnęło rączką tej wody, wnet stała się ona słodką, przynosząc od tej chwili ochłodę i życie strudzonym wędrowcom. Śliczna to legenda, choć drzewo zwane „drzewem Maryi“ jest to zwykła sykomora, stara wprawdzie, ale liczyć mogąca najwyżej kilka, nie kilkanaście wieków.

Arabowie opowiadają, że dawne drzewo uschło wprawdzie, lecz z konarów jego wnet nowa urosła sykomora.

Otaczają oni drzewo Maryi czcią niezwykłą, utrzymując, iż wydaje sok, uzdrawiający schorzałych i paralityków. To też kora cudownego drzewa ponacinaną jest w wielu miejscach i gałęzie mocno uszkodzone, gdyż każdy turysta stara się uszczknąć parę listków i sami Arabowie strzegący ogrodu, rozdają je za niewielką opłata.

Ogród ten wraz z drzewem Maryi, będący uroczem zjawiskiem na krańcach pustyni, jest własnością ekscesarzowej Eugenii, oddany jej w darze przez byłego wicekróla Ismaila, który, jak wiadomo, oczarowany wdziękami Eugenii, byłby jej chętnie cały Egipt rzucił pod stopy. Nie mogłam jednak dowiedzieć się, kto w imieniu cesarzowej spożywa owe setki pomarańcz, brzoskwiń i melonów, które ogród ten produkuje. Podobno dochody przeznaczone są dla zakonu Sióstr: „de la légion d' honneur“, które mają swój zakład wychowawczy w Kairze. W miejscu zaś, zkąd wypływa cudowny strumyk, o którym wyżej wspomniałam, wzniesiono przed kilkoma laty niewielki kościółek, otoczony klombami róż i laurów.

Naprzeciw wioski Mattarijek widzimy szeroką, zielonemi trawami pokrytą równinę; przestrzeń ta, to pole walki pamiętnej w dziejach Francyi; w r. 1800 na polu tem 10.000 francuzkich żołnierzy, wynędzniałych, spalonych skwarem i znękanych trudami, pobiło pod dowództwem Klebera 70-ciotysięczną armię muzułmańską. Zatrzymajmy się trochę przy tem historycznem wspomnieniu:

Wiadomą jest rzeczą, iż z chwilą, w której Bonaparte potajemnie Egipt opuścił, stanowisko Francuzów nad Nilem zachwiane zostało. Kleber nie umiał i nie chciał zjednać sobie arabskiego ludu; nie posiadał on wszechstronnego geniuszu Napoleona, który szanując religijne prawa Muzułmanów, przemawiając do nich stylem koranu, zdumiewał i olśniewał umysły Arabów; nazywali go oni „ulubieńcem zwycięstwa“ (Melek-el-Mansur) albo „małym dowódzcą“, a nawet „źrenicą Allaha“. Kleber przeciwnie, uciskając lud podatkami, depcząc dawne zwyczaje i formy, do których mieszkańcy Egiptu fanatycznie są przywiązani, zniechęcił i oburzył Muzułmanów; nie był administratorem, tylko żołnierzem, a dopiero w godzinie stanowczej bitwy okazał się znów bohaterem i uratował honor Francyi.

Równina, na której stoczoną została bitwa Klebera z zastępami Wezyra Jussufa, zajmuje tę właśnie szeroką przestrzeń, kędy przed setkami wieków istniało miasto wielkie i sławne — gród słońca: Heliopolis

Grecka ta nazwa nadaną została miastu w czasach późniejszych[1]); w starożytności Heliopolis nosiło nazwę: „On“ północny, dla odróżnienia miasta tegoż od innego grodu, zwanego „On“ południa (greckie Hermonthis w górnym Egipcie). Wyraz „On“ oznaczać ma w egipskiej mowie to, co „błyszczy“, „jaśnieje“; stąd więc i Greey nazwą Heliopolis gród ten uczcili.

Wiedzieć trzeba, iż starożytny Egipt podzielony był na „nomy“, czyli małe okręgi; każdy taki powiat miał swe miasto stołeczne, poświęcone jednemu bóstwu, jednemu duchowi opiekuńczemu. Tak było Memphis miastem bożka Phtak; w Tebach królował Ammon - Ozyrys; w Heliopolis zaś czczono, jak wspomniałam wyżej, trzecią osobę egipskiej trójcy: Horusa, zwanego także Ammonem-Rato jest „tajemniczem światłem“.

Świątynia Horusa w Heliopolis sięgała najdawniejszych wieków Egiptu: pierwszej memfickiej dynastyi; wzmianki o niej znajdujemy na najstarszych posągach i tablicach grobowych. Słynęła ona tajemniczymi obrzędami, których wspomnienie przechowało się w legendach i symbolach. Do niej to przywiązaną była baśń o cudownym ptaku Feniksie (po egipsku: Bannu), który z dalekiego wschodu t. j. z Indyi przybywał i w Heliopolis składał popioły dawnego swego ciała. Ukazanie się cudownego ptaka przepowiadane było według pewnych obliczeń przez kapłanów i rozpoczynało nową erę astronomiczną; niektórzy zaś egiptologowie twierdzą, iż było ono ukazaniem się nowej komety. Lud arabski przekształcił legendę o feniksie na swój sposób, utrzymując, iż nad obeliskiem w Heliopolis ukazuje się każdego roku w dniu: „tryumfu słońca“, t. j. przesilenia dnia i nocy, biały jak śnieg gołąb z dalekiego wschodu przybyły, znika jednak natychmiast, aby znów o podobnej porze powrócić.

Kapłani Horusa w Heliopolis, zwani także sługami słońca“ (Petiphrah stąd Putyfar[1]), byli zarazem nauczycielami filozofii i astronomii. Tak Homer i Orfeusz, jak później Plato, Eudexus i inni mędrcy greccy, byli ich uczniami; wszak i Mojżesz czerpał swą wiedzę z tejże szkoły. Istniała też w Heliopolis osobna świątynia izraelicka, której fundamenty po dziś dzień zachowane, lud arabski, „okopami żydów“ nazywa.

Z całego miasta jednak, również jak i z owej wsławionej świątyni słońca, śladu dziś niema; gruzów chyba pod ziemią szukaćby trzeba, pod podkładami namułu, którymi Nil pokrył te strony. Jedyną pamiątką, jedynym nagrobkiem na szerokim tym cmentarzu pozostał samotny obelisk, wysoki na 21 metrów, choć podstawa jego w ziemię zapadła. Jest to monolit z różowego granitu, jakiego dostarczały Egipcyanom okolice Assnanu i nadnilowe skały Nubii. Wszystkie cztery ściany obelisku pokryte są hieroglifami, z trzech stron jednak hieroglify te są zatarte, gdyż pszczoły egipskie niewiele dbające o chwałę Faraonów, pracą swą i gniazdami osnuły tajemnicze, sztucznie żłobione znaki. Napis odczytany na nietkniętej stronie obeliska ma być tytułem (t. j. „kartuszem“) króla Uzortesena I., z 12-tej dynastyi Tebańskiej, z roku 2433 przed Nar. Chrystusa. Napis ten tłumaczą egiptologowie w następujący sposób: „Horus - Usortezen“ — (Egipcyanie, oddając Faraonom część boską prawie, często imiona bogów im nadawali) „życie wszystkiego, co zrodzone, pan koron, władca Górnego i Dolnego Egiptu, syn słońca, wzniósł ten obelisk, aby mu dane było żyć wiecznie w pamięci“.

Inne obeliski, zdobiące niegdyś wejście do Horusa, obalone zostały przez czas i hordy najeźdźców, i bądź zginęły w powodzi wieków pod dłonią łupieżców, bądź poszły zdobić Aleksandryę, a później Romę i inne świata stolice. Na tablicach grobowych jednakże i na papyrusach starożytnych, znajdujących się w muzeum

[1]) Za Ptolomeuszów.

[1]) Biblijny władca Putyfar, którego małżonka taką nieszczęśliwą zyskała sławę, był o ile się zdaje kapłanem w Heliopolis; Arabowie na podaniu tem biblijnem osnuli baśń swoją o Jessufie i Zulejce.

w Kairze, przechowane zostały hymny, którymi witano wchodzące i zachodzące słońce. Oto jeden z tych hymnów: „Cześć tobie o Ammon-Ra-Harmakis, który promienie życia rozdajesz wszelkim istotom stworzonym, który się kryjesz w tajemnicy, a budzisz dobroczynny i prawdziwy. Ty wschodzisz, wznosisz się, panujesz, sterując łodzią twoją, na której co dnia płyniesz z rozkazu matki twej Nuth[1]). Ty oświeciłeś ziemię, i znów ją pogrążasz w ciemnościach; łagodzisz cierpienia Ozyrysa (człowieka umarłego, połączonego z bożkiem „amenu“ — Ozyrysem), a ci, którzy tchnienia życia skosztowali, wołają do ciebie, klękają przed tobą, panie ciał i kształtów stworzonych... O! Ra! który rozświeciłeś „niebiosa górne“, aby się wznieść duchem i ukryłeś przed nami „niebiosa dolne“, aby zniknąć z przed oczu naszych... Boże, który otworzyłeś tajemnicze drogi i przebyłeś mury widzialne; ty zjawiasz się w postaci słońca:

„Dziecię, gdy wschodzisz dnia każdego,
„Starcze, zamykający granice czasu,
„Starcze, wieczność obejmujący,
„Istoto tajemnicza, której oblicza nie znamy
„Panie wieków zjawiłeś się, stworzyłeś
[drogi, przebyłeś ścieżyny wieczności.“[1])

A oto drugi pacierz wieczorny, o zachodzie słońca powtarzany:

„Idź w spokoju ojcze ojców i bogów, który rozwiesiłeś niebiosa i rozpostarłeś ziemię; stworzycielu istot i wszelkich rzeczy zrodzonych, królu najwyższy; czcimy ciebie, boś nas utworzył, ofiarujemy tobie dary, bo mieszkasz między nami. Cześć tobie o! Ammon-Ra Harmakis!“ Takie to hymny brzmiały niegdyś w świątyniach Egipskich. Łatwo zrozumieć iż lud, który tak wzniosłe, głębokie i mistyczne miał pojęcia w dawnych pogańskich wiekach, skwarpliwie też przyjął światło prawdziwej Chrystusowej wiary.

„Wy Grecy dziećmi jesteście“ — mawiał egipski kapłan w Heliopolis do Platona przebywającego tamże — i słusznie, bo wiedza grecka, to dziecię Egiptu. I nietylko filozofia starożytna, ale sam chrystanizm nie jedną myśl szczytną wskrzesił z tych ruin. Nie jedno wzniosłe słowo przekazane nam przez proroków Judei jest echem modlitw, powtarzanych przed lat tysiącami na grobach egipskich.

Tak jak nasienie świętego drzewa wicher w dalekie unosi strony i na obie rzuca ziemie, tak idee wielkie i prawdy głębokie nie umierają z narodem, który upada, ale wcielają się w inne ludy i pokolenia.

Duch ludzki budzi je po wiekach do życia (tak, jak dziś wkrzesza wiedzę starożytną) z tych gruzów i szczątków, które witają nas na ziemi egipskiej jako: z j a w i s k a i c z a r y p u s t y n i.

[1]) Nuth albo Neith (toż samo co Izyda lub Muth) jest drugą osobą trójcy egipskiej i przedstawia matkę matek.. naturę.

[1]) Maspero.

Edmund Zechenter.

W NIEWOLI.

... Co się ze mną dzieje!... Ciągle walczę z jakąś mocą, silniejszą, niż moja wola i ambicya, i ciągle bywam zwyciężany! Co dnia stawiam programy poprawy, upamiętania się, ustatkowania, odmiany życia niegodnego mnie, i co dnia wieczorem, gdy sam jestem, wzmaga się we mnie, ta demoniczna, wroga moc i porywa w otchłań moralnego upadku... Opieram się, nie chcę, z całej duszy nie chcę, ale idę — staczam się coraz niżej...

Z mocnem postanowieniem sprawienia sobie ubrania pożyczyłem wczoraj te pieniądze, bo już tak dalej wyglądać, jak teraz wyglądam, żadną miarą nie mogę. Przecie trzeba szanować stanowisko, zdobyte tyloletnią pracą w szkołach! Wiem dobrze, iż panowie koledzy zaczynają mnie już lekceważyć... Tak dalej być nie może!...

W południe zostawiłem pieniądze w domu, aby ich nie stracić wracając z biura wieczorem.

Spokojny, prawie zadowolony z siebie przyszedłem do domu. Po herbacie stróż przyniósł mi gazetę. Zacząłem czytać.

Niestety, od razu miałem ciche poczucie, że gram komedyę sam przed sobą, udając zajęcie się gazetą, której treść jest mi najzupełniej obojętną, a nawet wprost nie rozumiejąc tego co czytam...

Ale tłumiąc w sobie tę świadomość, czytałem jeszcze długą chwilę; coraz bardziej jednak zaczęło mi dolegać to, że się nie ruszam, nie chodzę, lecz siedzę spokojnie. Mówiłem sobie:

„Wytrwam, nie wstanę, aż wszystko przeczytam, a potem położę się spać“.

Lecz nie mogłem wytrwać i dłużej walczyć z sobą.

Wstałem i zacząłem szybko chodzić po pokoju.

Myślałem: „Tak, pochodzę, bo przecież w biurze się wysiedziałem, a tymczasem odbije dziesiątą, stróż bramę zamknie, potem zaś wstyd byłoby już wychodzić“.

Właśnie zegary miejskie wydzwaniały dziewiątą, trąbka zwoływała żołnierzy.

Uspokoiło mnie to chwilowo.

Przecie to niegodne takiego człowieka, jak ja!... Pominąwszy już stanowisko, sam wzgląd na własną godność, inteligencyę, powinien skłonić mnie do zaprzestania tego codziennego upijania się... Wszak człowiek jeszcze młody... trzydzieści lat... powstrzymać się można... Że jedna kobieta, którą nad wszystko kochałem, zdradziła mnie, zaparła się mnie dlatego, aby tak zwany „lepszy los“ zrobić, to przecież nie usprawiedliwia mego obecnego trybu życia! Ależ to czyste szaleństwo, sam, dobrowolnie i systematycznie zapijać się i jeszcze narażać na pośmiewisko i lekceważenie! I za co? Że ona okazała się zwykłą, pozbawioną głębszych uczuć lalą? Czyż nie dość miałem przejść okropnych w życiu? Czyż od najwcześniejszych lat nie byłem świadkiem, jak ten sam nałóg zabijał powoli i w końcu przyprawił o wczesną śmierć mego biednego ojca?...

I teraz sam, z całą świadomością następstw, mam dążyć w jego ślady?... Nie wierzę w nią! Odepchnę od siebie to spętanie, co mnie już tak długo trzyma w niewoli! Muszę znaleść w sobie dość siły do tego! Jutro kupuję ubranie, i wszystko co potrzeba, płacę gotówką i zrzuciwszy te łachy z siebie, wytarte w tylu knajpach — zacznę być innym człowiekiem! Gdybym nie mógł oprzeć się pijaństwu, to już wolałbym w łeb sobie palnąć, ale tak dalej żyć nie chcę, nie chcę, i nie będę! Muszę sam siebie napowrót zacząć szanować i odzyskać zadowolenie wewnętrzne... Teraz dopiero, gdym je postradał, rozumiem, że to nieodzowny warunek istnienia, bez którego życie staje się torturą!

Byłem silnie zdenerwowany. Nogi drżały podemną, ręce ziębły jak lód, głowa pałała.

Powtarzałem drżącym szeptem:

— Ach, co to za szczęście mieć to zadowolenie wewnętrzne i to poczucie, że nie jestem bezmyślną igraszką nerwów, lecz mam wolę — męską, silną, niezłomną wolę!..

Wtem dosłyszałem, że zegar na ratuszu uderzył trzy kwadranse na dziesiątą.

Machinalnie przystąpiłem do okna i wyjrzałem. Było pogodnie: gwiazdy lśniły na skrawku nieba, który z okna mego widać. I jak zahypnotyzowany, ulegając jakiejś obcej suggestyi, pomyślałem: „Można będzie wziąć laskę“. Potem w dziwnem osłupieniu i bezświadomości, mechanicznie jak lunatyk sięgnąłem po zegarek wiszący tuż nad łóżkiem i schowałem go do kieszonki; zawiązałem krawatkę, którą już zdjąłem; otworzyłem szufladę od stolika, wyjąłem 5 złr., resztę zostawiłem i zamknąłem stolik.

„Poco to robię?! gdzie chcę iść?!“ — nagle wybuchło we mnie.

I drżący, do nieprzytomności zdenerwowany, z gorącymi wypiekami na twarzy, znowu biegać począłem po pokoju.

— Nieprawda! — wołałem — kto mówi, że chcę iść? Nie chcę! wcale nie chcę! Otóż raz postawię na swojem: nie pójdę!

I usiadłszy przy stole, rozłożyłem gazetę. Ręce mi się trzęsły, aż papier szeleściał, zębami dzwoniłem i wytężając wzrok na litery, które skakały mi przed oczyma, powtarzałem ciągle; „Otóż nie! otóż nie!“

Wtem posłyszałem z dołu znajome skrzypnięcie drzwi i dźwięk kluczy.

Jak podsadzony podskoczyłem, złapałem za kapelusz i laskę i pospiesznie wybiegłem.

Za chwilę byłem już na dole. Zajmowało mnie przedewszystkiem to, czy już zamknął, czy nie.

Zdyszany, wszedłem w główną sień. Brama była jeszcze otwarta. Stróż stał z kluczami, czekając na pierwsze uderzenie dziesiątej na ratuszu.

Odetchnąłem.

Na ulicy nie wiedzieć czemu spieszyłem się, a byłem wściekły na siebie, że się spieszę.

Ciągle kląłem.

— Bodaj to dyabli wzięli! Bodaj pioruny zatrzasły!

Kląłem, że lecę jak szalony, że spieszę się chyba po to, aby jak najprędzej znów sobą pogardzać, kląłem tę moc, która jakby trzymając mnie za ramiona, ciągle pcha naprzód..

Najpierw wszedłem do pobliskiego żydowskiego szynku, gdzie czasem pijałem żytniówkę. Wszedłem zachmurzony, jak człowiek zmuszony robić sprawunki i chodzić po sklepach, choćby wolał siedzieć w domu.

Sklep był pusty. W kącie tylko jakiś podbity murarz w okrągłej czapce z daszkiem, z ogromnemi szpakowatemi wąsiskami, tłómaczył coś szynkarzowi przypierając go do ściany.

— Pan myślisz, że ja nie potrafię?... Dyć taka we winklu robota dla mnie, panie święty, fracha!... Żal panu tych paru złotych, czy co, panie święty?... Ja je majster panie!... No, jakże zgoda?

I wyciągnął ogromną, ciemną rękę.

— Namyślę się, czemu się nie mam namyślić? — bąknął żyd.

— Co się też namyślać? Ino pana ten Kućmida pewnikiem obrobił... Panie! — dodał uroczyście podnosząc rękę do góry i zapalając się — psem jestem, uważasz pan, psem. świnią, hyclem..

— Dajcie pokój, panie Antoni — uspokajał kupiec.

— Nie dam pokój — wołał murarz coraz głośniej — ino powiem swoje: psem jestem, uważasz pan, panie święty, i świnią, jeżeli Kućmida nie orżnie pana jak się patrzy! Ja go znam!...

Wypiłem, wziąłem kilka papierosów, które żyd potajemnie fabrykuje, zapłaciłem i wyszedłem. Papieros mi smakował. Pomyślałem: „Ten ma jednak dobre papierosy; nawet u Rzepki, choć to porządniejszy handelek, takich nie ma. Muszę się kiedy spytać, jaki też w nich tytoń“.

U Rzepki, gdzie jestem codziennym gościem, znalazłem się jak u siebie Ostatni pokoik był pusty. Rozsiadłem się na kanapie i zawołałem o jarzębiak. Wyborny był — powtórzyłem go parę razy. Błogie ciepło zaczęło mnie rozmarzać, t a m t e myśli ustąpiły.

Piłem jeszcze potem porter, i byłoby mi tam wcale dobrze, gdyby nie ten Staszek, zresztą sprytny i rozumny chłopak, który, ile razy go zawołałem, trochę za długo przedemną przystawał, patrząc mi w oczy z dziwnym wyrazem. Trzeźwy już nie byłem, a jednak doskonale odczuwałem. że patrzał z ironią a może — politowaniem... Nauczył się tego chyba od samego Rzepki, który pewnych swoich stałych gości wprost policzkuje wzrokiem...

Wreszcie zniecierpliwiło mnie to przystawanie.

— Już niczego nie potrzebuję. Na co czekasz? — zawołałem zirytowany.

Z lekceważeniem odwrócił się i powoli odszedł.

Ale szelma spojrzała! Bodaj go kaci!...

Gdym około północy odchodził, byłem już doskonale pijany i budziła się we mnie niepohamowana, pijacka wesołość.

Śmiejąc się, wziąłem Staszka pod brodę.

— Cóż? chce ci się spać kawalerze? hę? — bełkotałem.

Przez niebardzo już zapełnione pokoje przeszedłem chwiejnym krokiem, tłumiąc ochotę parsknięcia śmiechem w twarz każdemu z gości.

W sklepie Rzepka stał za ladą, zacierając ręce.

Zapytałem go:

— Jak to pan się nazywa?

— Rzepka, do usług pana dobrodzieja. Pan dobrodziej przecie wie..

— A tak... wiem, wiem... No, to dobranoc panu, panie Rzepka!

— Dobranoc, padam do nóżek, moje uszanowanie panu dobrodziejowi!

Owionęło mnie chłodne powietrze. Z przyjemnością odetchnąłem.

— Rzepka... — myślałem śmiejąc się. To cymbał!... Pewnie, bo przecie Rzepka!... Ha, ha!... Bestya nazywa się Rzepka, no proszę ja kogo i jeszcze kontent z tego!... Albo ten murarz: Macinda czy Kaciara.. A bodaj was z temi nazwiskami!

Przeszedłem kilka ulic. Wszędzie było cicho i spokojnie, tylko moje kroki rozlegały się głośno wśród milczących kamienic. Chłodna noc kwietniowa przystrojona w miryady mrugających gwiazd, stała w ciszy i majestacie nad uśpionem miastem. Takie ciche, czarujące noce wiosenne... niegdyś.. niegdyś... Ale co mnie to obchodzi u djabła?... Ja nic sobie przypominać nie chciałem!... Pragnąłem bawić się, śmiać, patrzeć na pijanych, wesołych, takich jak ja — po prostu utopić się w tem morzu śmiechów i szaleństw pijackich... Poszedłem do nocnej kawiarni. I siedziałem kilka godzin w tej dusznej, zadymionej knajpie wśród hałasu, śmiechów, muzyki, niemieckiego szwargotu, patrząc na mundury, rozognione twarze mężczyzn, obnażone ramiona muzykantek, pijąc wódkę i herbatę z rumem, oszołomiony, porwany bezmyślną wesołością, jak ci wszyscy, co się tam bawili...

Wyszedłem jeszcze bardziej skłonny do śmiechu i wesołości, niż przedtem. Już nie wystarczało mi śmiać się w duszy z głupstw, co się w pijanej głowie roiły; musiałem to czynić na cały głos...



PRECLARZ.

— No patrzcie! — wołałem, zataczając się środkiem ulicy — taka stara jak szkapa fiakierska, a jak się to kręci i kryguje!... A idź-że sowo do stu piorunów!... Podaj tę herbatę, czy co tam chcesz, i idź precz!... A ha — no proszę ja kogo — siada sobie bliziutko... ot tak... trąca kolanem, nachyla się się, przegina i uśmiecha, wyszczerzając żółte zęby! Taka sowa! taka sowa!... Albo ten opasły konduktor, czy jaki tam kolejarz... To było paradne!... Szkoda, że nie umiem szkicować, bo miałbym prześliczną karykaturę... Oczy bardziej wyłupiaste niż u karpia, brzuch jak beczka — i bestya w umizgi do takiej szczuplutkiej blondynki!... Fräulein Pepi... aber erlauben's, aber erlauben's... Sie haben ein so kleines Händchen.. A to niedźwiedź!... W niebieskim fraku, z żółtymi guzikami.. Ha, ha, ha!

Zbliżył się stróż nocny.

Pozdrowiłem go:

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór panu!

— I cóż? Chodzisz jegomość tak, chodzisz? — zapytałem, dławiąc się od śmiechu.

— A chodzę...

— Ależ to głupio dobrodziej robisz, bardzo głupio! Żona tam pewnie stęskniona, sama, przewraca się z boku na bok...

— Trudno panie, służba..

— E, co tam służba! Niech ją pioruny zatrzasną! Mówię ci dobrodzieju, kobieta grunt, jeżeli nota bene młoda i ładna!... Rozumiał już to dobrze najmędrszy z królów Salomon, który miał setki żon... Wierzysz dobrodziej? Ha, ha, ha!.. I dlatego to on za takiego mądrego uchodzi!.. Zresztą nie przeszkadzam... Wesołej przechadzki życzę!... Ha, ha, ha!..

Gnąc się w pół od szalonych paroksyzmów śmiechu, poszedłem dalej.

— Łaź ośle, dopóki chcesz! Jeżeli masz ładną babę, a medyk mieszka w kamienicy, któremu ona zapewne pierze bieliznę, toś już przepadł z kretesem, poczciwcze! Ha, ha, ha!...

Przed zamkniętym sklepem Rzepki, przystanąłem i chwiejąc się na nogach, zacząłem bić pięścią we drzwi.

— A jest tam rzepa? Co? niema? Spodziewam się!.. Nikt jej nie posiał! Ha, ha, ha!... To świetne! A ja tu jej szukam... to cymbał ze mnie!..

Przechodząc obok szynku, do którego najpierw wstąpiłem, znów przystanąłem.

— A tu Hasenlauf i.. i... Kaciara majster we winklu, panie święty!.. Ha, ha, ha!..

I śmiałem się na cały głos, wykrzykując podobne niedorzeczności bez ustanku.

Przed bramą trochę oprzytomniałem. Wobec stróża nie chciałem wyglądać na bardzo pijanego. Całą siłą woli wstrzymałem wybuchy pijackich błazeństw.

Zadzwoniłem.

Czekając długą chwilę na otworzenie bramy — nagle uczułem się całkiem trzeźwym!.. Kolana gięły się podemną, w głowie szumiało, a jednak byłem trzeźwy! Cisza wytrzeźwiła mnie... Wówczas opanowała mnie dzika, szalona rozpacz. Byłbym szlochał, ryczał, wył, tarzając się po ziemi; byłbym padł przed kimś na kolana i wznosząc ręce jak do modlitwy, wołał: „Ratunku! ratunku przed tą okrutną, nieubłaganą potęgą, co trzyma mnie w niewoli i zabija mój umysł, ambicyę, godność człowieczą — wszystko! Miłosierdzia! pomocy! Ukryjcie mnie przed nią, ukryjcie gdzieś głęboko, choćby pod ziemię, aby mnie już nie dosięgła i przestała nękać, bom bardzo biedny!!!

Dosyć przyzwoicie przeszedłem sień. Po schodach stróż prowadził mnie pod ramię, zapalił świecę w pokoju, powiedział „dobranoc“ — i zostawił samego, samego!..

. . . .

. . . .

Długo usnąć nie mogłem.

Dopiero nad ranem sen mnie zaczął ogarniać. Lecz jeszcze w ostatniej chwili świadomości przyrzekałem sobie uroczyście opamiętanie i poprawę — i w tejże chwili miałem głuche poczucie, że się okłamuję... Usnąłem z dreszczem trwogi przed zbliżającem się jutrem, w którem czeka mnie ta sama walka co dzisiaj — i ta sama przegrana..

Henryk Zbierzchowski.

DO GWIAZD!

STEFANII M.

Pójdź! do mej szaty jak dziecko się tul,
Pójdziemy razem przez szczęście i ból,
Olbrzymie światy, nad któremi władam,
W twe ręce składam!

Ty płaczesz? droga, pozbądź się tych trwóg,
Nad nami gwiazdy, za gwiazdami Bóg...
Coś spływa na mnie, czuję w duszę wiosnę —
Rosnę i rosnę!

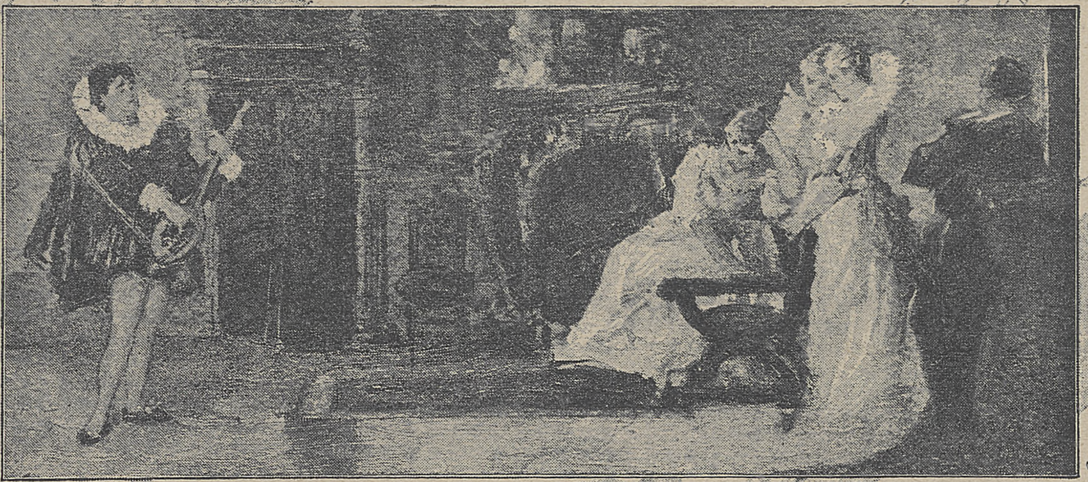
Po zamną ciemność i przepastna głąb,
Opieram dłonie o gwiaździsty zrąb,
W duszy melodye budzą się radosne —
Rosnę i rosnę!

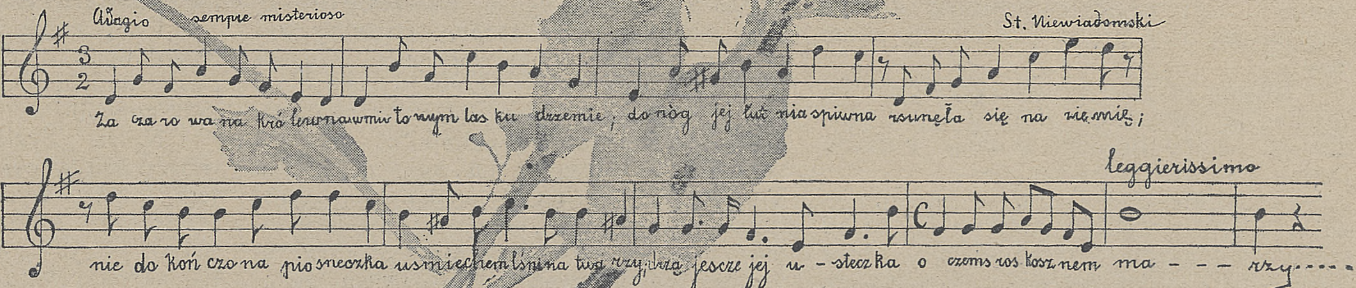
Przedemną cudny roztwiera się krąg:
Złociste morza, jasność górnych łąk,
Gdzie pod dotknięciem mojej twórczej ręki
Kwitną gwiazd pęki.

Tajemne wyspy wśród świetlistych fal
I jakaś sina, niezgłębiona dal,
Zkąd na mych skrzydłach z wieczorną godziną
Sny dziwne płyną...

Płaczesz? jak dziecko wezmę cię do rąk,
Podniosę w górę do tych jasnych łąk,
Łzy twoje ujmę w świateł blask i drzenie
I w gwiazdy zmienię.









E. Trzemeski, Lwów

S. Kaván-Batowa 1891

ZACZAROWANA KRÓLEWNA.

Bertold Menkes.

Z literatury krytycznej.

(Cezary Jellenta o Dantem; Marya Konopnicka o Mickiewiczu)

I.

Jellenta i Konopnicka — Sprzągłem ich zupełnie przypadkowo. Nie o paralelę między nimi mi chodzi — chcę wykazać, jaką subtelność w wyborze, jaki takt w omijaniu okazali, podejmując się skreślenia „życiorysu“ Danta i Mickiewicza; dalej w jaki sposób pierwszy uplastycznił postać i życie autora „Boskiej komedyi“, a druga w jedną potężną symfonię wyczarowała tony, spływające z lutni twórcy „Pana Tadeusza“. — —

Pierwsza myśl, jaka przemknie się przez mózg rzeźbiarza, będzie mniej więcej taką: Jak dana osoba przedstawia się na zewnątrz? Jaka budowa jej głowy, wyraz twarzy? Jaki wreszcie stosunek między organizacyą fizyczną a psychiczną danej osoby?

Jellenta pragnie przedewszystkiem zaspokoić tę ciekawość. Boć straszny rozdźwięk panuje między twarzą, postacią Danta, a jego tworzywem...

„To ma być Dante — zapytuje — największy poeta kraju poetów? Ta sucha teologiczna postać? Więc w niej miała żyć nieskończona miłość, oszałamiająca fantazya, wizye tkliwe i poetyczna, rycerska dzielność i wytrwałość trubadura?“

A dalej:

„Czyż to nie dziwne, że wszystkie podobizny zarówno Danta — starego, jak Danta — młodzieńca, mają w sobie — das Ewigweibliche? Co więcej, na miniaturze, zdobiącej t. zw. „Codex Palatino 320“, a wyobrażającej poetę w średnich latach, jest on tak dalece — kobietą, że chce się podejrzywać jakąś pomyłkę“.

Te dwie wątpliwości napawają duszę Jellenty takim niepokojem, iż każą mu z uporem i cierpliwością przyrodnika myszkować wśród pozostałości, między biografiami i podobiznami wielkiego florentczyka, wyrywają mu z duszy pytanie:

„Lecz jak wyglądał on za młodu?“, zostawiają pola do domysłów — boć przecież, na miły Bóg, pojęcie, jakie krytyk (tym razem p. Jellenta) zdobył sobie z dzieł autora musi się nakrywać z pojęciem, jakie zyskał z obserwacyi wyglądu i życia zewnętrznego samego autora! Wszak niezbitą jest prawdą, że dzieło napisane jest wypływem, koniecznem następstwem stanu duchowego swego twórcy. A każdy stan duchowy, gdzie się najlepiej uzewnętrznia? — W postaci, twarzy, sposobie postępowania — życiu.

Powoli, po długiem i skrzętnem badaniu zaspakaja wreszcie Jellenta swą ciekawość: jego zmysł plastyczny zadowolon!

„... do Stanca della Segnatura w Watykanie niechaj idzie, kto chce zobaczyć prawdziwą potęgę umysłu. Wielki malarz sprostał wielkiemu poecie. Twarz Danta, żywa aż do nieprawdopobieństwa, mówi do nas demoniczną satyrą. Lecz to nie uśmiech satyra, jeno wściekłe zadowolenie mędrca na widok czyjegoś zbłaźnienia się; to tryumf nadludka, patrzy na nikczemność i karłowatość ludzi: w jego nasuniętych na oczy brwiach, jest coś dziwnie drapieżnego, lwiego, w bystrym wzroku świdrująca krytyka, w zapadłej górnej wardze, kościstym mocno wysuniętym naprzód podbródku — złośliwa zaciekłość i prawie zajadłość“.

Co za przepyszny obraz! Chciałoby się krzyknąć: Taż to ten Dante, którego nieśmiertelne strofy wżerają się w nasz mózg, gdyby polip w ciało. Taż to ten Dante, który przechodząc przez miasto powodował uwagi kumoszek: Oto człowiek, który ile razy zechce, może zstąpić do piekieł! Taż to ten Dante, którego sportretować prawie że nie podobna, bo — jak powiada Jellenta — „w takiem obliczu mieszka dusz wiele“.

Odcyfrujmy kilka z nich! A uczynimy to w ten sposób, iż zbierzemy wszystkie pobudki, jakie razem wziąwszy wytyczyły drogę, którą nastąpiła erupcya każdorazowego stanu duchowego poety. Otóż pierwszem centrem takich pobudzeń musiała być oczywiście m i ł o ś ć. Ale nie ta, którą napotykamy na każdym kroku. To była miłość artysty, taka która „warunkuje nieraz potężne wzloty udochowienia“, a której nie należy utożsamiać z miłością „zwyczajnych rozpłodowych i brutalnych samców“.

Ślicznie uplastycznia Jellenta przedmiot miłości Alighieriego:

„Unosi się ona (Beatrice) w opalowych mgłach nieba na wysokościach aniołów i duchów. Niekiedy sama rozpływa się w cudny obłok skrzydlaty i odblasków przedświtu pełny...“

Zda mi się, że widzę seraficzne postaci Fra Angelika, owego sługi Bożego, który w swej klasztornej celi miewał widzenia pejsarzy i postaci tak czystych, jak czystem i eterycznem winno było być jego posłannictwo na ziemi.

Lecz jaką rolę odgrywa w życiu poety ta mistyczna postać? Byłaż to istota fizyczna z krwi i ciała, czy może tylko nazwa, personifikująca pewne właściwości ludzkie?

Jellenta tłumaczy: „Dante, najbardziej indywidualny z poetów, musiał kochać w kobiecie przedewszystkiem w ł a s n y i d e a ł; własnem urojeniem przetwarzał i dopełniał postać rzeczywistą“. Tak to dokonała się „przemiana ukochanej w geniusza opiekuńczego“. I temi słowy przeprowadza Jellenta postać Beatryczy z życia poety do jego dzieł. „Dosyć było prze znaczyć jej za mieszkanie sfery napowietrzne, a już bez żadnych przeobrażeń wewnętrznych stała się aniołem“. I oto zdaje się nam, iż poznaliśmy już dobrze tego ucieleśnionego w postać dziewczęcia drogowskaza Danta.

Drugiem centrem pobudzeń jest ż y c i e p o l i t y c z n e. Jellenta przeprowadza osobę poety przez jego wrzenia i knowania z przeświadczeniem, iż ten okres rozpolitykowania się „dostarczał tragedyi epikowi zgrozy, a filozofowi — wątków do ponurych rozmyślań“. Mimo, że najgorętszem dążeniem poety, wyrażonem w „Biesiadzie“ było „ku chwale ojczyzny dać odpocznienie znękanej duszy (ripo sare animo stanco) i dokonać reszty dni — chłosta losu skazała go na sieroctwo, na samotność, na w y g n a n i e.

I oto trzeci pokład uczuć, które kształtowały duszę Alighierego. Boleść w pstre stroi się kolory! To wielki poeta...

A jakie koleje przechodziła ta potężna indywidualność, a dusza tak subtelna, że podchwytywała i uświadamiała sobie każde dgrnienie fali, stanowiącej obraz owoczesnego społeczeństwa?

Tu kończy się prawie właściwa i samodzielna praca Jellenty. Potąd silna ręka rzeźbiarza kształtowała postać mistrza.

I dobrze czyni, że w miejsce swych, z pewnością w tym względzie niedoskonałych sądów, wprowadza zdanie ludzi, którym danem było trzymać jakoby rękę na pulsach osobowości Danta.

I tak wedle Wittego, jednego z najznakomitszych znawców Danta, „trylogia duszy twórczej“ przedstawia się następujący sposób:

Nowe Życie, Biesiada i Komedya odtwarzają w całości drogę, którą przebył jego ideał poetycki i myślicielski. W dziele pierwszem staje przed nami młodzieniec pełen wiary naiwnej, szczerej, niezmąconej żadnem wątpieniem, spragnionej cudu, rozkochanej w Bogu do tego stopnia, że nawet swą miłość do Beatryczy i jej postać uważa za objawienie niebios. Gdy mu śmierć wydarła ukochaną, rozpoczął się okres dojrzalszy i głębsza praca duchowa. Poeta, jak sam wyznaje, dał się usidlić wdziękom Filozofii, puścił cugle spekulacyi, jął roztrząsać najtrudniejsze zagadnienia bytu i duszy, rozpatrywać sprawy życia państwowego i moralne. Na ów czas przypada też jego udział w wirach i walkach politycznych, oraz odpowiadająca mu działalność teoretyczna t. j. naukowa; czyli, że filozofia, choć go oderwała od zawodów osobistych i od cierpień serdecznych, pchnęła go za to w odmęt zapasów myślowych i życiowych. W wędrówce tej nie zaznał ukojenia: owszem, wyniósł z niej dużo goryczy i nowe rozbicie ducha. Ale też zdobył doświadczenie, że sama orgia myśli badawczej nie może być zbawieniem. Ta tułaczka ducha, to bolesne błądzenie po bezdrożach zostawiły swój ślad w Biesiadzie.

Przejściem do trzeciego, najwyższego okresu będzie powrót dawnej słodkiej wiary i miłości, powrót zarówno do Boga, jak do Beatryczy. Ważna chwila przyspieszyła ten przełom: wielkie święto jubileuszowe z powodu upływu 1300 lat od chwili, kiedy Chrystus zbawił świat męczeństwem krzyża. W duszy mistrza zbudziło się na nowo dawne namaszczenie, powrócił dawny podniosły, niebios sięgający nastrój; skołatany burzami mędrzec ujrzał, jako rozbłysk ponowny wielkiego światła i przeto na szczycie wiedzy i dociekań postawił naukę świętą — Teologię i pod wodzą wielkich ideałów religijnych poddał sprawy ducha. Uosobieniem tej nowej idei przewodniej, idei świętej nauki, czystości, zbożnego ukorzenia się przed majestatem Boga i światła i dobroci jego, stał się pierwszy spotkany na ziemi anioł Beatryx. A historya tego wewnętrznego przewrotu miała się stać wiekopomną

przez komedyę, w której została wyśpiewana".

Zająwszy tak jasno i dobitnie sformułowane stanowisko wobec ewolucyi twórczości Danta, winien był Jellenta zamknąć swe dzieło. On jednak pragnął pogląd ten uzasadnić i pogłębić, a w istocie go zagmatwał i przypłaszczył. Jeszcze wyczuć można podrygi zmysłu plastycznego, jeszcze przed duszą jego obraz Danta ucieleśnia się w konkretne formy, kiedy zapytuje: „dla czego mamy w poecie szukać kapłana z lirą w ręku, kiedy zawsze szukać należy poety?" — ale to już podrygi tężyzny i rozmachu, z jakim wyciosał w pierwszej połowie książki postać Danta. Powinien był już przestać, a wciąż wznawia nie kwestye już, bez „kwestyjki", wciąż urządza krucyaty na tego lub owego tłumacza idei dantejskich, wciąż pisze listy pochwalne. Jeśli do pieśni dentejskich przylgnęło miano „skalistych" albo „kamiennych" — pietrose, to do tych wywodów Jellenty dostowuje się przezwisko „gąbczastych". Ścieka z nich woda, zmieszana z kleikiem filozofująco-estetycznym.

(Dokończenie nastąpi).

Pogadanka naukowa.

Elektryczność zwierzęca.

Koniec przeszłego wieku zasłynął wielkiem odkryciem elektryczności, pochodzącej od zetknięcia się dwóch metali. Dwaj włoscy uczeni Luigi Galvani i Volta dali światu nową siłę, nie przewidując nawet do jakich olbrzymich wyników doprowadzonem będzie skromne spostrzeżenie, że tylne nogi żaby odarte ze skóry i tak obcięte, że wisiały na dwóch nitkach nerwowych połączonych kolumną pacierzową drgają, jeżeli się je dotknie drutem miedzianym, znajdującym się w styczności z drutem żelaznym, na którym nogi te były zawieszone. Odkrycie to zrobił Galvani, profesor anatomii w bolońskim uniwersytecie w roku 1786.

Zdumiony ruchem nóg nieżyjącego zwierzęcia, jako anatom sądził, iż odkrył w nerwach szczególną siłę, którą nazwał płynem życia, wywołującym ruchy mięśni do których nerwy te prowadzą. Wkrótce potem udało się ciało zbrodniarza powieszonego, za pomocą takiegoż podrażnienia przywieść do drgań i ruchów podobnych, jakie wystąpiują za życia. Było to dostatecznem, aby zrodzić myśl, iż za pomocą galwanizmu można nawet śmierć zwalczyć.

Galwani utrzymywał, że nerwy i mięśnie są naładowane płynem życia i że przez dotknięcie ich metalami następuje wyładowanie tego płynu, czyli, że metale działają jedynie tylko jako przewodniki.

Przeciw temu twierdzeniu powstał Volta, profesor fizyki w Pawii. Nie będąc anatomem, odrzucił tajemną siłę, istniejącą w mięśniach i dowiódł doświadczalnie, że siła wychodziła z punktu zetknięcia metali i odkrył elektryczność zetknięcia, której ważność była niezmiernie wielką i otworzyła nowy świat coraz to ciekawszych zjawisk. Nastąpiła reakcya wśród zwolenników Galvaniego, którego obwołano nawet szarlatanem. A przecież ten uczony nie mylił się, bo elektryczność zwierzęca istnieje rzeczywiście w mięśniach i nerwach. Jest list Galvaniego, w którym on pisze z goryczą do przyjaciela: „Napadają na mnie uczeni i głupcy. Jedni i drudzy śmieją się ze mnie i nazywają żabim nauczycielem tańców. Niech i tak będzie. Ja wiem, że odkryłem jedną z największych sił przyrody".

Już sam Galvani odrzucił metale i wykazał, że skoro nerw uda żaby dotknie mięśnia tegoż uda, mięsień zadrga natychmiast, a zatem że istotnie strumień elektryczny z nerwów i mięśni wydobyć można. Na prace jego w tym kierunku nie zwrócono uwagi, która w owym czasie była pochłonięta doświadczeniami Volty nad elektrycznością zetknięcia. Nad



ROMANTYCZNI.

sprawą tą następnie pracowali Nobili i Mateucci, lecz największą zasługę położył Dubois-Raymond, niezmiernie ścisły i dokładny badacz.

Przedewszystkiem musimy powiedzieć, dlaczego badania elektryczności zwierzęcej wykonują się najczęściej na nogach żaby. Żaba jak i inne zwierzęta zimnej krwi, naprzykład ryby, nie tak prędko umiera jak ciepłokrwiste i godzinami po zabiciu objawia ruchy podobne jak za życia, dlatego też doświadczenia na niej udają się najlepiej. Znanym jest też fakt, że im natura organ jaki większą obdarzyła siłą, tem lepiej na nim występują elektryczne zjawiska, a noga żaby jest tak silną, że zwierzątko może przeskoczyć przestrzeń najmniej dwadzieścia razy tak wielką jak sama zajmuje. Lecz to co zauważono u żaby, dzieje się także w mięśniach każdego zwierzęcia, tem samem i u człowieka.

Przypomnimy w ogólnym zarysie urządzenie nerwowego systemu i jego czynności. Mózg jest siedliskiem woli i miejscem, gdzie na podstawie wrażeń tworzą się myśli i uczucia.

Z mózgu i przedłużenia jego mlecza pacierzowego wychodzą nerwy dwóch rodzajów: częściowe i ruchowe. Pierwsze rozgałęziają się w powłokach zewnętrznych ciała, drugie zaś idą do mięśni. Mózg więc wysyła we wszystkie strony organizmu jak druty bateryi galwanicznej, nitki nerwowe, aby mieć możność przesłania telegraficznych rozkazów na wszystkie czyny nasze i odbierania zewsząd wiadomości o naszych wrażeniach i uczuciach. Jeżeli nastąpi jakie podrażnienie z zewnątrz, nerw uczucia przenosi wrażenie do mózgu, a ztąd wychodzi rozkaz, jak się mają zachować mięśnie.

Wszystkie bez wyjątku poruszenia żyjącej istoty pochodzą od ściągania się mięśni i jak tylko ta siła w mięśniach zginie, naprzykład wskutek przecięcia nerwu, organ w którym się ten nerw znajduje, staje się nieruchomym. Z tego też widzimy, że wiadomość o podrażnieniu idzie do mózgu w kierunku wstępującym, a rozkaz woli w zstępującym czyli odśrodkowym. Ciekawą też jest rzeczą, że same nerwy nie poruszają się wcale i leżą spokojnie, a tylko służą jako przewodniki ruchu, przesyłając strumień elektryczny w jednym lub drugim kierunku.

Do badań Dubois-Raymond używał urządzonego przez siebie galwanometru czyli multiplicatora, służącego do mierzenia bardzo słabych strumieni elektrycznych. Jest to igła magnetyczna umieszczona w środku pierścienia, zrobionego ze zwoju, jedwabiem owiniętego drutu metalowego, który przeprowadza prąd elektryczny, powiększając działanie jego. W tym celu Dubois-Raymond użył zwoju, w którym było 24 tysięcy skrętów drutu. Jak tylko prąd elektryczny przebiega po drucie, igła magnesowa znajdująca się w środku uchyla się od zwykłego swego kierunku ku północy i zbacza w prawo, jeżeli elektryczność jest dodatnią, lub w lewo, jeżeli jest ujemną.

Aby uniknąć błędu Dubois-Raymond poddawał badaniu niecałe grupy, a pojedyncze mięśnie i nerwy i znalazł że każdy mięsień i nerw istoty ożywionej, podczas życia i na krótki czas po śmierci, jest siedliskiem galwanicznego prądu, którego kierunek idzie od podłużnej powierzchni mięśnia do jego przyczepienia (ścięgna), lub do poprzecznego przecięcia. Zjawisko to dowodzi, że każdy żywy mięsień posiada elektryczność w sobie i że ciało ludzkie mozna uważać istotnie jako zbiór drobnych stosów, działających automatycznie, w których prądy pobudzające odnawiają się ciągle przez odżywianie.

Dubois-Raymond porównując różne mięśnie pod względem siły strumienia elektrycznego prądu, znalazł, że strumień ten jest tem silniejszy, im do znaczniejszej mechanicznej czynności mięsień ma przeznaczenie i że w mięśniu zabitego zwierzęcia siła prądu ciągle się zmniejsza i niknie zupełnie wtedy, gdy skończy się sztywność trupia, to jest gdy życie już zupełnie zniknie.

Ponieważ mózg i jego przedłużenie składają się z dwóch substancyj, białej i szarej, więc bardzo prawdopodobnie i te dwie substancye zachowują się względem siebie jak dwa metale, które przy zetknięciu wywiązują elektryczność i że wszystkie czynności, czy to fizyczne czy duchowe wzbudzają w całym organizmie odpowiednie elektryczne prądy. Odkrycie zaś przez Galwaniego strumienia elektrycznego w mięśniach pozwala przyjąć, że ten strumień jest właściwą siłą, ciągle obecną w żywym organizmie i że on to sprawia, iż mięsień wskutek pobudzenia nerwowego kurczy się; źródłem więc poruszeń mięśni jest elektryczność zwierzęca, której pewną część każdy mięsień posiada.

System więc nerwowy działa jak przyrząd elektryczny, z tą jedynie różnicą, iż elektryczność przebiega 422 tysięcy kilometrów na sekundę, wtedy gdy po nerwach pobudzenie przenosi się z prędkością 61.5 metrów na sekundę. Lecz ta różnica pochodzi stąd, że i sama elektryczność inaczej przebiega w metalach, inaczej w powietrzu i wodzie, nareszcie inaczej w ciele człowieka.

Co do prędkości kurczenia się mięśni, to jest szybkości, z jaką wola może przesłać rozkazy swoje do mięśni, jest ona także ogromna: biegły pianista może w pół minuty 200 razy podnieść i opuścić palec wskazujący, a wiersz złożony z 45 głosek można wymówić w dwóch sekundach.

Im strumień mięśniowy będzie silniejszy, tem igła magnesowa multiplikatora zboczy mocniej, w przeciwnym razie zbliży się do zwykłego położenia. Każdy mięsień w czasie spokoju okazuje, że przezeń przebiega prąd elektryczny, gdy zaś mięsień skurczy się, natychmiast prąd słabnie.

Dubois-Raymond wykonał doświadczenia na udzie żaby, przy którem znajdowała się dość długa nitka nerwowa. Przy każdem podrażnieniu mięsień drgał, gdy zaś takie podrażnienie działało w ciągu dłuższego czasu naprzykład za pomocą prądu przerywanego, to mięsień ściągał się mocno i tak ściągnięty pozostawał czas dłuższy.

Badając taki mięsień za pomocą galwanometru przekonano się, że igła magnesowa została nieruchomą i nie zmieniała swego położenia. Świadczy to, że po każdej dłuższej pracy mięśni następuje zmęczenie, które ustępuje tylko po krótszym lub dłuższym odpoczynku. Częste więc ściąganie mięśni, czy to w biegu, czy tańcu, czy w chodzeniu, osłabia strumień mięśniowy i sprowadza zmęczenie.

Żeby dowieść, iż mięśnie żyjącego stworzenia zachowują się tak samo jak mięśnie niedawno zabitej żaby, Dubois-Raymond postawił dwa naczynia napełnione wodą słoną i w każdem z nich zanurzył jeden z dwóch końców drutu swego wielkiego galwanometru. Następnie zanurzył do tych naczyń wskazujące palce rąk obu. Tym sposobem został zamknięty łańcuch galwaniczny, z jednej strony galwanometrem, z drugiej zaś strony ciałem i rękami doświadczającego. Z obu rąk wychodziły strumienie elektryczne i po skrętach drutów wzmocnione, dostawały się do multipl katora, a ponieważ oba miały jednakowy kierunek zstępujący, przeto przy spotkaniu znosiły się wzajemnie. Lecz gdy robiący doświadczenie ściągnął mięśnie jednej ręki, strumień, wychodzący w drugiej, stawał się silniejszym i przebiegłszy przez skręty galwanometru sprowadzał natychmiast zboczenie igły magnesowej. Skoro jednak nastąpiło zwolnienie mięśni tej ręki, strumienie znowu zrównoważały się i igła wracała do swego zwykłego położenia.

Doświadczenie to wskazuje, że człowiek za pomocą dowolnego ruchu ręki swej może odległą igłę magnesową poruszyć. Zważywszy, że ściąganie mięśni dowolne pochodzi od woli mającej siedlisko w mózgu, widzimy, że igłę magnesową poruszyć możemy siłą tej ostatniej, czyli, że wziąwszy w ręce druty galwanometru czułego, możemy telegrafować, przyczem depesza będzie wychodziś wprost z mózgu, to w wielu miejscach i do dziś istnieje telegrafia oparta jedynie na zboczeniach igły magnesowej multiplikatora.

Drugiem następstwem tego odkrycia jest możność porównania siły mięśniowej dwóch ludzi na tej podstawie, że osoba mocniejsza budzi silniejszy strumień i większe odchylenie igły magnesowej od zwykłego jej położenia. Ciekawą jest wszakże rzeczą, że najmniejsza ranka lub zadraśnienie zanurzonego palca już zmienia rezultat doświadczenia, bo ze skaleczonego miejsca strumień elektryczny silniej wypływa, aniżeli z miejsc nienaruszoną skórą pokrytych. Prawa i lewa ręka także u wielu osób niejednostajną posiada siłę i to się okazuje ze strumienia na galwanometr działającego.

Z czasem, gdy galwanometry jeszcze więcej wydoskonalą się, można będzie wypróbować każdy pojedyńczy członek ciała pod względem siły strumienia i ułożyć skalę do ocenienia stanu zdrowia, mocy lub słabości tych organów ciała, i czy cierpienia organizmu od zmiany nasilenia strumieni elektrycznych pochodzą.

(Dokończenie nastąpi).

Katedra na Wawelu.

Tegoroczne święta Wielkiejnocy stanowić będą dla Krakowa, a i dla całego społeczeństwa, chwilę podwójnie pamiątkową: obok bowiem uroczystości kościelnej, upamiętnią się pierwszem nabożeństwem, odprawionem w katedrze na Wawelu po jej odnowieniu. W dniu tym katedra, po długiem zamknięciu, będzie znowu otwarta dla publiczności.

W dniach ostatnich grono osób z inteligencyi miejscowej miało sposobność zwiedzać wnętrze odrestaurowanej świątyni, dzięki uprzejmości kierownika i technicznego autora robót, prof. Sławomira Odrzywolskiego, który sam oprowadzał gości i udzielał wyjaśnień. Przedtem jeszcze profesor Odrzywolski w odczycie publicznym zaznajomił z historyą świątyni i sposobem, jakiego trzymał się przy jej odrestaurowaniu.

Pierwotna katedra na Wawelu, aż do Władysława Hermana była drewnianą i stopniowo zmieniała się w murowaną. Gdy zaś w roku 1306 padła pastwą pożaru, Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki odbudowali ją w stylu gotyckim. Z biegiem wieków pobożność królów i biskupów powiększała gmach świątyni przez dobudowywanie kaplic, które okalają nawę główną, że zaś smak się zmieniał, przeto powstały dobudówki w stylach rozmaitych, a nawet w samym kościele czyniono zmiany, zacierając coraz więcej styl i wygląd jego pierwotny. Najbardziej zeszpecono katedrę w wieku XVII, kiedy to (za biskupa Łubieńskiego) zmieniono jej styl bazylikowy, podwyższając nawy boczne do wysokości głównej. Tym sposobem okna nawy głównej wychodziły już nie na dachy naw bocznych, jak dawniej, ale do wnętrza tych naw, co świątynię uczyniło ciemną i ponurą.

Usunięto kolorowe witraże i polichromię kościoła, której ślady teraz dopiero odkrył prof. Odrzywolski.

Poczynione zmiany wewnątrz nie przyczyniły się również do upiększenia. Dawniej np. ołtarz Ś-go Stanisława, znajdujący się na środku kościoła, był niski i nie zasłaniał reszty świątyni. Kiedy jednak, po napadzie szwedzkim, sprawiono nową trumienkę, niepotrzebnie ołtarz podwyższono, a nadto nakryto go kopułą, która dzisiaj dzieli kościół na dwie części. Dokonano przytem wielu innych zmian, które do reszty zeszpeciły świątynię, chylącą się coraz więcej do upadku.

Dopiero biskup Dunajewski zaopiekował się budową pamiątkową i odnowił kaplicę Zygmuntowską, obecny zaś biskup, ks. Puzyna, dokonał odnowienia reszty katedry.

Przy odnowieniu zwyciężyła zasada, iż należy uszanować dodatki późniejsze, a to ze względu na wiele cennych szczegółów, jakkolwiek sprzeciwiają się one pierwotnemu stylowi kościoła. Prof. Odrzywolski był wprawdzie osobiście innego zapatrywania, ale, przegłosowany, poddał się zdaniu większości i przy restauracyi ściśle się doń stosował. Z powyższego wynika, że usunięto tylko takie dodatki czasów późniejszych, które bądź nie posiadały żadnej wartości artystycznej, bądź też były tak zniszczone, iż nie dały się już odrestaurować. Wygląd wewnętrzny katedry nie wiele też różni się od dawnego. Z ważniejszych zmian wymienić należy: przywrócenie baldachimu kamiennego nad pomnikiem Łokietka, przywrócenie ścian rzeźbionych ze stalami i kraty bramowej, oddzielającej presbyterium, oraz koronek kamiennych w oknach nawy głównej.

Nie wykonano zaś jeszcze paru innych zamiarów, jak przesunięcia pomnika Jagiełły do południowej nawy bocznej, oraz pomnika Potockiego, na którego miejscu stanie pomnik, poświęcony Annie Cylejskiej. Staną nadto trzy inne pomniki, poświęcone trzem królowym: Ś-tej Jadwidze, Elżbiecie i Zofii. Prof. Odrzywolski dąży do przywrócenia polichromii i w tym celu pozostawił na murach wizerunki kilku figur, które wydobył z polichromii dawniejszej, ażeby ułatwić odtworzenie stylu przyszłym wykonawcom. Z kaplic odrestaurowano dotychczas trzy: tak zw. Gamratów, drugą, gdzie znajduje się pomnik biskupa Grota, i — jak już wspomniałem — Zygmuntowską.

Z robót zewnętrznych przedewszystkiem na wyszczególnienie zasługuje wzmocnienie murów kościoła i restauracya dwu wież katedralnych, zwłaszcza Zygmuntowskiej, gdzie musiano kłaść fundamenty, których brakowało. W projekcie jest przywrócenie jeszcze trzeciej wieży, dziś już nie istniejącej, „wieży srebrnych dzwonów“, na wzór której, jak twierdzą, miała powstać wieża kościoła Maryackiego.

Otwarcie katedry na Wielkanoc nie świadczy zatem jeszcze o ukończeniu jej restauracyi. Potrwa ona jeszcze lat parę, ale nie będzie to już przeszkadzało zwiedzaniu świątyni, albowiem roboty wewnętrzne będą prowadzone przeważnie w kaplicach.

Odnowienie katedry wawelskiej jest wstępem do zapowiedzianej restauracyi całego zamku na Wawelu, co wobec wniesionej już w parlamencie ustawy rządowej, raz może przecie wyjdzie ze sfery projektów i życzeń społeczeństwa.

Nowości literackie.

Stefan Gębarski. **Z życia Adama Mickiewicza.** Dla młodzieży.

Opowiadać młodzieży o ludziach wielkich zawsze jest pożytecznie, a cóż dopiero, jeśli wielkim człowiekiem, o którym się mówi, jest Mickiewicz.

Zrozumiał to p. Gębarski i napisał książkę, w której z całym pietyzmem, należnym Mickiewiczowi, opowiedział ważniejsze wydarzenia z jego życia młodym czytelnikom, stawiając im wszędzie za wzór głębokość umysłu, czystość i nieskazitelność charakteru największego z poetów polskich. Oczywiście, stosując się do poziomu umysłowego młodzieży, ten i ów szczegół pominął, nie przeoczył jednak żadnego faktu, w którym wybitniej zaznaczyły się umysł lub serce wieszcza. Opowiadanie płynie gładko, zwięźle, w niektórych miejscach barwnie i w umiejętnem zestawieniu zawiera wyciągi z całej literatury, dotyczącej Mickiewicza, z przemożnem uwzględnieniem cennej pracy Piotra Chmielowskiego.

Książka przyniesie niewątpliwy pożytek każdemu dziecku w wieku od lat 10 do 14 i powinna być poparta przez rodziców, dbałych o pokarm umysłowy dla dziatwy, której dać dobrą książkę do ręki, tak dziś jeszcze u nas trudno.

* * *

Stefan Poraj Suchecki. **Wschodniem wybrzeżem Afryki.** Wrażenia z podróży.

Swobodnie, z pewnym humorem, barwnie opowiada nam p. Suchecki wrażenia swoje z podróży, odbytej wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki.

Po kilku latach pobytu na Kaplandzie, w roku 1898 wracał autor do kraju. Z Port-Natalu (Durban) droga wypadła mu przez Laurenzo-Marquez, Beira, Quelimane, Mozambik i Zanzibar, Guardafu i morze Czerwone do Port Said. W drodze tej, wszędzie gdzie zatrzymywał się okręt, chwytał podróżny w przelocie rzeczy ważniejsze, godne widzenia i charakterystyczne i chwytał je dobrze, bo mu do tego pomogło baczne oko przyrodnika, nawykłe do obserwacyi. Wrażenia ważniejsze notował lub utrwalał na kliszach fotograficznych podręcznego aparatu i w ten sposób powstała książka, która ma charakter notatek luźnych, opracowanych potem do druku i spojonych w jedną całość umiejętnie i bez wysiłku. Sporo w niej kart zajmujących, opisy żywe, informacye dobre o dalekich lądach afrykańskich. Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu opis Zanzibaru, gdzie p. Suchecki poznał także znanego nam już z listów Sienkiewicza, misyonarza O. Stefana Baura.

Wrażenia z podróży mają u nas zawsze ciekawych i chętnych czytelników. Niewątpliwie znajdzie ich i praca niniejsza, na co w zupełności zasługuje.

* * *

Ada Negri. **Poezye.**

Ukazała się w tych dniach w handlu księgarskim książka niepospolicie piękna, jako utwór poetycki, i prześlicznie wydana: poezye Ady Negri w przekładzie Maryi Konopnickiej p. t. „Niedola — Burze“.

Jest to książka w dużej ósemce (202 str.), w której każdą niemal stronicę zdobi odmienna, oryginalnie rysowana winieta, przeważnie z motywów kwiatowych ułożona.

Złożyły się na książkę dwie duże miary poetki, a rzadko się zdarza mieć przekład, któryby nie pozwalał żałować, że się nie czyta oryginału. Tak przekłada Konopnicka. Poezye Negri w tej książce są — rzec można — nie tłumaczone, lecz drugi raz w duszy poczęte przez poetkę polską i drugi raz na papier przelane.

Na czele tej książki jest wiersz taki:

Dziś u wezgłowia była mi zjawiona
Wśród mroków pola
Szydercza postać z sztyletem u łona,
Z błyskiem w źrenicy. Struchlałam. A ona:
— „Jam jest Niedola!...“

Wtedy poetka:

Porwę się, krzycząc: — Ja chcę mojej wiosny!
Chcę mego prawa!
Chcę upojenia dreszcz uczuć miłosny!
Geniusz i słońce — to świat mój rodzony...
Precz maro krwawa!

Taki był pierwotny pęd do szczęścia osobistego, ale Niedola nie ustąpiła:

A ona: „Temu kto cierpi i tworzy,
Sława jest tylko wzajemną,
W bólu najwyższy lot bierze ptak boży...
Kto noc przewalczy, zwycięża o zorzy“.
Rzekłam: — Bądź ze mną!

To też księga tych pieśni pełną jest bólu, pisana „głoskami z płomienia“, księga „surowego lica“. Kończąc ją, poetka doznała uczucia, że „mózg i serce jej kona“, że odbył się podwójny dramat: w niej i w książce, i że ta książka jest „pieczęcią grobu“.

U miłośników sceny.

Słyszałem ostatnio w ich interpretacyi trzy polskie dramolety: „Bajkę Niemojewskiego“, „Grajka“ Przybylskiego i „W Dąbrowie górniczej“ Zapolskiej. Stanowczo twierdzić mogę, iż nadzwyczajne porobili postępy, choćby i od jesieni. Ensambl zgrany, trema ustąpiła pewności, koturnowatość swobodzie, a jednak — — jest kilka niedomagań, które łatwo pewnym nakładem pracy mogą być usunięte. I właśnie dlatego, aby na nie zwrócić uwagę miłośników, piszę te słowa. Bo miłośnikom krytyka rzadko idzie z pomocą; zwykle zbywa ich stereotypowemi, ogranemi jak klawikord pochwałami ze słowniczka krytyczno-dziennikarskiego, a wobec tych ludzi należy występować właśnie z poważniejszą oceną, choćby przykrą, ale stanowczo cenniejszą niż banalna chwalba.

Otóż najbardziej rażącym błędem miłośników jest zbyt silne wybijanie tła uczuciowego w słowach i sytuacyach, które tego wcale nie wymagają. Bardzo często przechodzi ta uczuciowość w słodkawy sentymentalizm i działa jak przecukrzona woda. W ogóle zdaje się, iż wszyscy niemal amatorzy sceniczni chorują na tę uczciwość. Porównałbym tę wadę do zwyczaju tremolowania u młodych śpiewaków. A wadę tę powinni i mogą stanowczo przezwyciężyć. Bo pokład uczuciowy zawsze przychodzi w odmiennym stopniu i napięciu z każdą rolą, i odmiennie musi być każdym razem uzewnętrzniany, natomiast jeżeli się ktoś do wybijania tego tła w każdej roli wzwyczai, popada w manierę i dalszy jego rozwój przepadł — — Tak np. w „Bajce" Niemojewskiego rolę Śmierci powierzono pani Pillerowej. Artystka bardzo utalentowana, bardzo sympatyczna na scenie — ale nieco już ze względu na powyżej wspomnianą wadę zmanierowana... „Śmierć" w jej interpretacyi była stanowczo przesentymentalizowana. Była słodką pocieszycielką, „jasną panią", schroniskiem dla biednych ludzi, uciekających przed twardem życiem — ale nie miała powagi, groźnego majestatu Śmierci.

U prawdziwych aktorów maniera zasadza się często na podkładaniu pod każdy niemal wyraz, wypowiadany na scenie, większego niż autor sam zamyślał, podkładu refleksyjnego, kontemplacyjnego. U miłośników tej hypertrofii myślowości nie ma, ale za to, jak to poprzednio wykazałem, razi często nadmiar uczuciowości.

A dalej: miłośnicy (i tem dodatnio różnią się od amatorów-dyletantów) umieją całą sztukę, jaką grają, utrzymać w nastroju. Nigdy prawie zeń nie wypadają, oddają zarówno ponury nastrój chwili, którym jest obwłóczony dramacik „W Dąbrowie", jak i pogodny, a smętny urok obrazków scenicznych Przybylskiego. Ale potęgować tego nastroju stosownie do zacieśniania się konfliktu dramatycznego nie umieją. N. p. w „Frycku" Sudermanna wyzyskali bardzo dobrze i ujawili na scenie tę tak straszną, wysoce nastrojową chwilę, kiedy z grona żyjących niewidoczna Śmierć po jedną z owych ofiar drżące ręce wyciąga... ale tego stopniować nie zdołali, spotęgować działanie tak, jak to autor myślał. Bo we „Frycku" słowa nabierają na potędze i intenzywności wraz jak akcya naprzód się posuwa. W końcu stają się tak bolesnemi i tak błyskawicowemi, jak śmiertelne, a na zewnątrz niemal niewidoczne śmignięcie klingi damasceńskiego — —

Tego właśnie niedostawa bardzo często miłośnikom.

A teraz krótki przegląd sił.

Najwybitniejszą z pośród nich indywidualnością (nie uwzględniam tu silnie zastąpionych sił, nadających się do ról komicznych jak znakomitego Pilarskiego, Martynowicza i innych), i najwięcej na przyszłość nadziei rokującą, jest stanowczo pan Wiesenberg. Silnie zbudowany o rysach twarzy wyrazistych, władający dźwięcznym, silnym głosem, ma ponadto spory zasób inteligencyi, dozwalającej mu wcielić się w najróżniejsze charaktery. Jednego wieczora wykuwa poważny a opokowy obraz Życia („Bajka"), tego samego wieczora stwarza postać jowialnego, a smutnego staruszka w „Grajku" — obu rolach jest różnym, a w każdej konsekwentnym. Takich kreacyi nie powstydziłaby się żadna scena — —

Bezpośrednio po nich stawiam czwórkę miłośników, na równi wedle mego zdania co do swego rozwoju artystycznego stojących: p. Andruszowskiego, Galla, panią Pillerowę i pannę Kozierowską. Charakteryzować każdej z tych postaci mi nie podobna z powodu braku miejsca. Zaznaczyć jednak ogólnie mogę, że, zapisując w poczet ich „minusów" te wady, które wytknąłem na wstępie, długi rejestr „plusów" dałby się wyliczyć. Ale tu urywam: nie chcę tych prawdziwie sztukę kochających i jej bezinteresownie oddanych ludzi karmić stereotypową chwalbą... *b.—m.*

Ze świata.

„Chopin". Taki tytuł nosi opera, której wystawieniem zajmuje się obecnie „Teatro Lirico" w Medyolanie. Twórcą libretta jest młody poeta Orvieto, muzyki zaś maestro Orefice. Większość melodyi w operze wzięta jest z dzieł Chopina.

*

Zjazd lekarzy i przyrodników słowiańskich odbędzie się w maju w Pradze czeskiej. Na zjazd proszeni są lekarze i przyrodnicy ze wszystkich krajów słowiańskich, nietylko jako goście, ale jako czynni uczestnicy. Postanowiono, że każdy prelegent przemawiać będzie w swoim języku rodowitym. Przy poszczególnych sekcyach urządzone będą wystawy specyalne. Komitet organizacyjny pod przewodnictwem patologa dra Hlavy ogłosił już urzędowy program zjazdu: sekcya I — biologiczna, II — matematyczno-fizyczna, III — medyczna (patologia ogólna i doświadczalna, bakteryologia, choroby wewnętrzne, dziecięce, psychyatrya, balneologia i medycyna sądowa), IV — chirurgiczna, V — hygieniczno-demograficzna, VI — chemiczna, VII — mineralogiczno-geograficzna, VIII — farmaceutyczno-farmakologiczna, IX — weterynaryjna.

*

Katedrę kolońską teraz dopiero doprowadzono do ostatecznego kresu wykończenia. Jest to budowla około której praca trwała najdłużej chyba ze wszystkich wykonywanych w Europie, budowę bowiem katedry rozpoczęto w 1248-ym r. na miejscu kościoła, wzniesionego za Karola Wielkiego. Wówczas to nakreślono plany, których wykonanie trwało przez siedem z górą stuleci. Pierwsze roboty prowadził budowniczy Gerhard według planów nieznanego budowniczego. W r. 1437-ym wykończono wieże, okna wprawiono w 1509-ym r. W XVI i XVII wieku roboty przerwano, a energicznie wzięto się do nich dopiero od r. 1841-go gdy utworzyło się osobne Stowarzyszenie budowy katedry. W r. 1885-ym ukończono roboty zewnętrzne, od tego zaś czasu zajmowano się robotami wewnętrznemi, które obecnie dobiegły ostatecznego kresu.

*

Cesarz Wilhelm i Bismark. Znany przyjaciel młodości monarchy niemieckiego, Poultney Bigelow wydał w Ameryce wspomnienia o cesarzu Wilhelmie, a książka ta zawiera, między innemi, ciekawe szczegóły, dotyczące stosunku cesarza z Bismarck'iem. Wstąpiwszy na tron młody cesarz, — pisze p. Bigelow, — zaczął odwiedzać monarchów państw sąsiednich. Przybywszy do Petersburga usiłował doszukać się tam gorącej sympatyi dla Niemiec, o jakiej prawił mu ustawicznie Bismarck i przekonał się, że w Rosyi panuje prąd antyniemiecki, równie silny jak we Francyi. Odwiedził Austryę i przekonał się ponownie, że Bismarck jest w błędzie. Zamiast zawiści, którą miał tam zastać, spotkał się z przyjęciem takiem, że zdawało mu się, iż jest w kółku rodzinnem. Pojechał do Anglii, gdzie go, według zapewnień Bismarck'a czekały tylko obelgi. Tymczasem Anglicy przyjęli go tak serdecznie, że powrócił jako zapalony wielbiciel sportu wodnego i zapisał się na członka Jachtklubu angielskiego. Skoro tylko cesarz spostrzegł, że Bismarck omylił się w kilku kwestyach polityki zagranicznej, zaczął też pilnie badać stosunki wewnętrzne. Wilhelm II. miał do Bismarck'a przywiązanie i traktował go z widocznym szacunkiem. Uznawał zasługi sędziwego męża stanu w zupełności, ale nie mógł z założonemi rękoma patrzeć jak ten sam Bismarck sprawia, że rząd staje się z każdym dniem niepopularniejszy, a naród coraz bardziej niezadowolony. W r. 1890 spodobało się Wilhelmowi II. przeprowadzić rozmowę z pewnym wybitnym politykiem niemieckim. Bismarck oświadczył, że jeśli cesarz tę rozmowę powtórzy, to on poda się do dymisyi. Cesarz ją powtórzył, ale Bismark nie abdykował. Cesarz posłał oczywiście kogoś do pałacu Bismarck'a z zapytaniem, dlaczego przyrzeczona abdykacya nie nastąpiła. Bismarck tak się przyzwyczaił przeprowadzić wszelkie żądania przy pomocy prostej groźby, że porzuci swoje stanowisko, iż nie mógł sobie wyobrazić wypadku, w którymby stary urok zawiódł. Tym razem wystosowano do niego wezwanie, aby spełnił to, co zapowiadał tylokrotnie.

Bańki mydlane.

Biały dworek z przystawkami,
Dach upięty mchu wawrzynem...
W pokoiku z portretami
Siedzi babcia nad „Duninem".
Wychowała — pochowała...
Dziś modlitwa wspomnień wstęgą!
W białym dworku babcia biała
Nad pożółkłą siedzi księgą..
Zatopiona całą duszą
Modlitewne chłonie karty...
Stare oczy łzami proszą
Jakby w świeżo grób otwarty —
Usta szepcą: Anioł Pański,
Myśl bolesna liczy rany...

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Serce nie zna, co to pany!"

Wieczór... gwiazdy... noc zapada...
Płonie lampka o szkle sinem...
Babcia drżące ręce składa
I zasiada nad „Duninem".
Siedzi... wzdycha.. gdzieś łzami...
Oczy płaczą... serce bije...
W pokoiku z portretami,
Co zamarło — znowu żyje!
Żyją wnuki, żyją dziady —
Czasy z grobu powstawały...
Gdzieś echem dawnej swady
Białej babci dworek biały!
Jak o nocy świętojańskiej
Snów minionych nić się plecie!

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Tam na błoniu błyszczy kwiecie!"

W białym dworku z przystawkami
Świt na czole siadł z babcinem
I wyzłocił promieniami
Białą głowę nad „Duninem".
Padł na modlitw słowa święte,
Na portrety rzucił brzaskiem
I rozbudził, snem objęte,
Dobre oczy dziennym blaskiem!
Zbudził z marzeń myśl zbolałą,
Drogich wspomnień rozwiał wstęgę!
..Babcia chyli głowę białę
I całuje starą księgę,
Niby w dzwonek loretański
Bije w starą pierś w pokorze...

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Kiedy ranne wstają zorze!" *El.*

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.